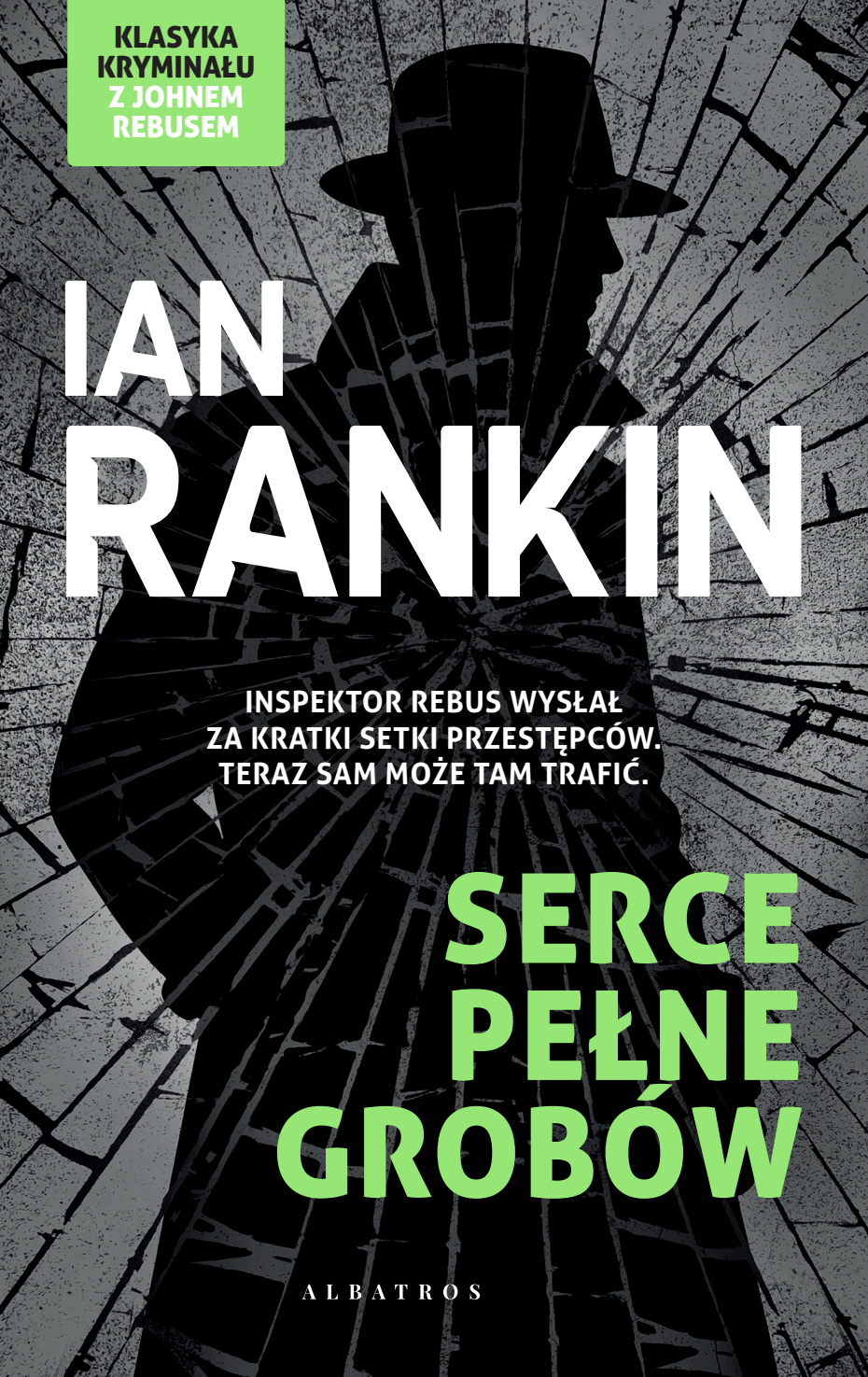
KLASYKA KRYMINAŁU Z JOHNEM REBUSEM
IAN RANKIN
INSPEKTOR REBUS WYSŁAŁ ZA KRATKI SETKI PRZESTĘPCÓW. TERAZ SAM MOŻE TAM TRAFIĆ.
SERCE PEŁNE GROBÓW
ALBATROS

Tytuł oryginału:
A HEART FULL OF HEADSTONES

Copyright © John Rebus Ltd. 2022
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2026
Polish translation copyright © Robert Ginalski 2026
All rights reserved

Redakcja: Marzena Wasilewska
Korekta: Sabina Raczyńska, Piotr Królak
Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek
Ilustracja na okładce: © Teodoro Ortiz Tarrascusa/Arcangel

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com

WYDAWNICTWO
ALBATROS

DETEKTYW EDYNBURSKIEJ POLICJI

JOHN REBUS

Szkocki twardziel, który podczas konfliktu irlandzkiego służył w brytyjskiej armii i przeszedł szkolenie w elitarnej jednostce SAS.

Słucha muzyki klasycznej, jazzu, ale też rocka: Rolling Stonesów, The Who czy Jethro Tull. Ma imponującą kolekcję płyt – winylowy gość w zdigitalizowanym świecie.

Jeździ kultowym Saabem 900.

Powiedzieć, że nie stroni od alkoholu, to niedomówienie: pije piwo (głównie IPA) i whisky (jego ulubiona to Bell's), najchętniej w edynburskim Oxford Bar. I pali, o wiele za dużo, a przynajmniej kiedyś palił.

Ma córkę i jest rozwiedziony. Jeśli chodzi o kobiety, raczej brakuje mu szczęścia.

Nieufny wobec autorytetów, nie postrzega już świata w czarno-białych kolorach.

Szlachetny samotnik, trochę nieokrzesany, który dobre serce maskuje szorstkim usposobieniem i złośliwym poczuciem humoru.

I za to go kochamy!

Teraz

John Rebus wielokrotnie bywał w sądzie, ale po raz pierwszy zasiadał na ławie oskarżonych. Kiedy na użytek przysięgłych odczytywano akt oskarżenia, rozglądał się po sali. Świat wciąż nie otrząsnął się po covidzie. Poza Rebusem i sędzią wszyscy nosili maseczki, no i wszędzie były kamery i ekrany. Przysięgłych ze względu na zagrożenie dla zdrowia ulokowano gdzie indziej – w kinie przy Lothian Road. Widział ich na jednym z dużych ekranów, a oni widzieli jego.

Próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy zeznawał jako świadek, ale nie pamiętał. To musiały być lata siedemdziesiąte, prawie pół wieku temu. Prawnicy, urzędnicy sądowi i sędzia pewnie wyglądali wtedy podobnie. Dziś po bokach miał dwóch umundurowanych strażników – i wówczas było tak samo. Kiedyś, gdy stał na miejscu dla świadków, oskarżony próbował sforsować barierkę i rzucić się na niego; strażnik odciągnął go w ostatniej chwili. Jak ten nerwus się nazywał? Niski, chudy, kręcone włosy. Nazwisko na M… chyba. Z czasem każdemu siada pamięć, prawda? Nie tylko Rebusowi. To kwestia wieku. Jak POChP, dzięki której nie musiał mieć na twarzy maseczki i pozwolono mu trzymać w kieszeni inhalator.

Zastanawiał się, co u psa. Córka, Samantha, zabrała Brilla do siebie, bo wnuczka Rebusa uwielbiała tego burka. Cieszył się, że galeria dla publiczności jest zamknięta; dzięki temu nie musiał użerać się z Samanthą i tłumaczyć,

żeby nie przychodziła na proces. W areszcie życie jest proste. To inni podejmują za nas decyzje. Nie musiał myśleć o posiłkach, wyprowadzaniu psa na spacer ani o tym, czym wypełnić sobie dzień. Jako były gliniarz cieszył się nawet sympatią strażników. Chętnie zaglądali do niego na pogaduszki i pilnowali, żeby włos mu z głowy nie spadł. Nie wszyscy osadzeni dobrze mu życzyli, miał więc ten komfort, że umieszczono go w pojedynczej celi, mimo że Więzienie Jej Królewskiej Mości w Edynburgu pękało w szwach. Nawiasem mówiąc, tej oficjalnej nazwy używała tylko garstka gryzipiórków, dla wszystkich to było Saughton, na zachodnim krańcu Gorgie Road. Idąc stamtąd w stronę centrum, mijało się stadion Heartsów, a potem komisariat w Tynecastle. W pewnym sensie to właśnie przez ten posterunek policji Rebus tu wylądował.

Malone – tak nazywał się ten chudy nerwus. Zawodowy włamywacz, który nie miał oporów przed terroryzowaniem ludzi, których okradał. Jedna z jego ofiar dostała zawału i zmarła na miejscu, dlatego Rebus dopilnował, żeby nie uszło mu to bezkarnie. W tym celu musiał nieco podkolorować swoje zeznania z miejsca dla świadków, co wywołało furię Malone'a… a ława przysięgłych źle reaguje na takie wybuchy złości. Rebus tak skutecznie udawał wstrząśniętego, że sędzia zapytał, czy nie potrzebuje chwili przerwy.

– Poproszę szklankę wody, Wysoki Sądzie – odparł inspektor, próbując wycisnąć z siebie kilka kropli nerwowego potu.

W tym czasie wyprowadzany z sali Malone złorzeczył jemu i takim jak on przekupnym łajdakom.

– Przysięgli zapomną o tym, co właśnie usłyszeli od oskarżonego – powiedział sędzia i zwrócił się do prokuratora: – Proszę kontynuować, jeśli detektyw inspektor Rebus jest gotów.

Detektyw inspektor Rebus był gotów.

Teraz próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy przekroczył próg komisariatu w Tynecastle. Był już wtedy śledczym w stopniu inspektora czy jeszcze sierżanta? Pewnie sierżanta. Nigdy nie pracował tam na stałe, ale przez jakiś czas służył w pobliskim Torphichen. Tyle że Torphichen to niemal porządny West End, a Tynecastle – dla wtajemniczonych Tynie – to całkiem inna para kaloszy. Rebus uważał, że bliskość stadionów piłkarskich i obszarów biedy zasługuje na pracę doktorską. Wokół Stadionu Tynecastle stały głównie czynszówki, między nieużytkami i halami przemysłowymi. Dalej na zachód zaczynały się osiedla, takie jak Burnhill, ze szpetnymi betonowymi blokami z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych; ich zaparowane okna przypominały zaćmę na oczach zniszczonej twarzy. Wielu ludziom, którzy spędzili tam całe życie, lojalność wobec lokalnej drużyny pozwalała zapomnieć o otaczającej ich rzeczywistości, a czasem nawet dostarczała – zbyt krótkiej – euforii.

Rebus nigdy nie kibicował jakiejś konkretnej drużynie.

„Bez jaj, John – podpuszczano go wielokrotnie. – Hearts czy Hibs? Albo, albo!"

A on tylko kręcił głową. Tak jak teraz, gdy jak przez mgłę dotarło do niego kilka słów urzędnika sądowego. Odczytywanie aktu oskarżenia ciągnęło się w nieskończoność.

– Zostaje pan oskarżony z powództwa… zarzuca się panu, że… dnia piętnastego… w… wobec… dopuścił się pan…

Starał się nie pokazywać przysięgłym, że doskonale zdaje sobie sprawę z ich obecności. Wiedział, która kamera jest skierowana na niego, więc ani razu nie spojrzał w jej stronę. Polerowane drewno w sali, ciemnoszara wykładzina, wąski blat, na którym mógł oprzeć dłonie – na tym demonstracyjnie

skupiał uwagę. Było też miejsce dla świadków, obok którego stał ekran, ale nie telewizyjny, tylko zwyczajny parawan, żeby oskarżony nie widział zeznającego świadka. Parawan zamontowano na kółkach, żeby można go było usuwać z sali, a w razie potrzeby wtaczać po prowizorycznej rampie…

Zaraz… dlaczego nagle zapadła cisza?

Rebus spojrzał na sędziego, który przyszpilał wzrokiem jego obrońcę. Urzędnik sądowy oderwał się od aktu oskarżenia.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie – mruknął adwokat, wertując papiery.

Urzędnik westchnął teatralnie. Wszystko to było jednym wielkim teatrem, co Rebus zrozumiał dziesiątki lat temu. To znaczy teatrem dla tych, którzy uczestniczyli w tym spektaklu z racji zawodu, bo dla wszystkich innych absolutnie nie.

– Jesteśmy na tym etapie postępowania, kiedy informuje pan sąd, jak oskarżony zamierza ustosunkować się do zarzutów – pouczył sędzia mecenasa.

Rebus zerknął na swoich obrońców, głównego adwokata i aplikantkę w absurdalnych perukach oraz prawnika w ciemnym garniturze zapiętym na wszystkie guziki. Główny obrońca miał na sobie jedwabną togę, a pod szyją coś, co z niewiadomych powodów nazywało się żabotem. Rebus odnosił wrażenie, że to obcy ludzie, choć w ostatnich tygodniach często ich widywał. Aplikantka patrzyła beznamiętnie przed siebie; pewnie myślała o tym, co musi kupić po drodze do domu albo jaki zestaw sportowy przygotować dziecku na jutro do szkoły.

– Mecenasie Bartleby? – ponaglił sędzia obrońcę.

Rebusowi podobał się ten sędzia. Sprawiał wrażenie człowieka, który nalałby ci dobrej whisky bez względu na to, kim jesteś.

Główny obrońca skinął głową, wyraźnie zadowolony z

tego, co właśnie sprawdził.

Oblizał wargi.

Otworzył usta, żeby przemówić.

Rebus nie mógł się powstrzymać – odruchowo zrobił to samo i nabrał w płuca łyk słodkiego edynburskiego powietrza…

Kiedyś

1

Puby znów były otwarte – teraz już bez obowiązku wpisywania się na listę i zamawiania przy stoliku, a nie przy barze. Stanie przy barze wydawało się czymś niemal egzotycznym, choć wzrok wciąż mimowolnie zahaczał o dozownik z płynem do dezynfekcji na rogu lady albo przy drzwiach, o kod QR do śledzenia kontaktów czy staromodną podkładkę do pisania, na której bazgrało się nazwisko (jakiekolwiek) oraz numer kontaktowy (też pierwszy lepszy). Rebus wciąż nie miał pojęcia, jak działa ten cały kod QR. Od czasu do czasu co bardziej kumaty bywalec baru albo ktoś z obsługi próbował mu to wyjaśnić, ale informacja prześlizgiwała się po powierzchni jego mózgu jak puszczona po wodzie kaczka – i tak jak kamyk tonęła, przepadając bez śladu.

Dziś siedział w pubie przy Brougham Place. Wcześniej w bladym zimowym słońcu wyprowadził Brilla na spacer po Bruntsfield Links; pies i właściciel rzucali długie cienie. Na Melville Drive jak zwykle sunął sznur samochodów, chodnikami pomykali studenci. Najwyraźniej uniwersytet znów działał pełną parą. A przez dłuższy czas panował spokój; dopóki nie ruszył program szczepień, Rebus siedział zamknięty w czterech ścianach ze swoją POChP. Teraz był wolnym człowiekiem, i to po dawce przypominającej. Koniec ze spotkaniami na odległość, kiedy córka i wnuczka stały po jednej stronie furtki ogrodowej, a on po drugiej, koniec zostawiania

zakupów pod drzwiami, żeby zabrał je potem. Ludzie znów mogli żyć pełną piersią. Mógł przytulić Samanthę i Carrie, choć u wnuczki wyczuwał pewną rezerwę, bo wciąż nie była zaszczepiona. Czy naprawdę wszystko wracało do normy? A może nie było już żadnej normy, do której dałoby się wrócić? Dzisiaj bywalcy pubu nadal naciągali maseczki, gdy chcieli się przejść po lokalu. Wciąż drgali nerwowo, kiedy ktoś zanosił się kaszlem. Lockdown dał Rebusowi idealny pretekst, by nie umawiać się do lekarza z powodu zawrotów głowy i bólu w klatce piersiowej. Może teraz coś z tym zrobi.

Może…

Na razie zadowalał się lekturą popołudniówki. Był w niej artykuł o sklepach przy Royal Mile, przeżywających istne oblężenie – złodzieje i ćpuny okradali je właściwie bezkarnie. W West Lothian ktoś oblał samochód kwasem, a pobliski dom zaatakowano koktajlem Mołotowa. Rebus wiedział, że to pewnie wojna gangów. Tyle że to nie jego sprawa. Już nie.

Zadzwonił telefon i mężczyzna przy sąsiednim stoliku wyraźnie się wzdrygnął. Rebus powoli pokręcił głową na znak, że to zwykły esemes, a nie alert covidowy. Kiedy jednak spojrzał na ekran, przekonał się, że to wcale nie jest zwykła wiadomość, przeciwnie – nadawcą był bowiem Cafferty. Morris Gerald Cafferty, znany jako Duży Ger.

Jesteś z psem na spacerze?

Rebus miał ochotę nie reagować, ale wątpił, by Cafferty odpuścił.

Tak, odpisał jednym słowem.

Odpowiedź przyszła natychmiast.

To czemu cię nie widzę?

Pub.

Który?

Bo?

Ze skąpstwa założyłeś blokadę na esemesy dłuższe niż trzyznakowe?

Nie. Jak widać.

Upił łyk piwa i czekał. Brillo leżał skulony u jego stóp – nie spał, ale całkiem nieźle udawał. Rebus odłożył telefon na stół i zakręcił szklanką, by znowu powstała piana. Kiedyś ktoś mu tłumaczył, że nie należy tego robić, ale nie pamiętał dlaczego.

Ping. **Muszę się z tobą zobaczyć.**

Ping. **Wpadnij do mnie.**

Ping. **Nie ma pośpiechu. Za godzinę. Dopij i odprowadź psa do domu.**

Rebus zastanawiał się, co odpisać. Ale czy w ogóle musi? Właściwie nie, przecież i tak pójdzie, a Cafferty świetnie o tym wie. Pójdzie z ciekawości. Bo jest ciekawy wielu rzeczy. Pójdzie, bo łączy ich przeszłość.

Nie chciał jednak pokazać, że mu zależy.

Nie odpisał więc, tylko założył maseczkę, podszedł do baru i zamówił kolejne duże piwo.

Cafferty zajmował trzy najwyższe piętra w szklanym wieżowcu na terenie kompleksu mieszkaniowego Quartermile. Niegdyś mieścił się tu edynburski szpital; odrestaurowane historyczne budynki gnieździły się teraz między nowoczesnymi konstrukcjami ze szkła i stali. Z mieszkania Rebusa na parterze czynszówki przy cichej ulicy w Marchmont szło się tu raptem dziesięć minut. Pośrodku biegła Melville Drive. Po stronie Rebusa rozciągał się park Bruntsfield Links, gdzie latem grywało się w dziewięciodołkowego golfa. Po stronie Cafferty'ego – rozległy zielony park Meadows. Zwykle roiło się tam od biegaczy, rowerzystów i spacerowiczów z psami. Rebus musiał ich omijać, idąc w stronę Quartermile.

Zastanawiał się, czy Cafferty go obserwuje. Na wszelki wypadek zasalutował budynkowi dwoma palcami, na co młoda para siedząca na pobliskiej ławce spojrzała na niego z konsternacją.

Na chwilę przystanął przed wejściem do szklanego wieżowca. Żałował, że rzucił palenie. Papieros dałby mu pretekst, żeby odwlec wizytę. Nacisnął dzwonek. Zamek kliknął, Rebus wszedł i pojechał windą na najwyższe – ósme – piętro. Były tu tylko jedne drzwi, otwarte na oścież. Dobrze zbudowany młody mężczyzna zbierał właśnie pocztę wsuniętą wcześniej przez otwór na listy. Jasne włosy, sylwetka wyrzeźbiona regularnymi wizytami na siłowni. Na lewym nadgarstku coś, co wyglądało na opaskę Fitbit. Zegarka brak, obrączki też.

– Coś ty za jeden? – zapytał Rebus.

– Osobisty asystent pana Cafferty'ego.

– Niezła robota: podcierać mu tyłek na zawołanie. Znam drogę.

Rebus wyrwał mu listy z ręki. Zrobił dwa kroki w głąb korytarza, gdy silny uścisk za ramię zatrzymał go w miejscu.

– Muszę pana obszukać.

– Chyba żartujesz.

A jednak wyraz twarzy młodego człowieka świadczył o tym, że mówi serio. Rebus westchnął i rozsunął zamek pikowanej kurtki.

– Wiesz, że mnie tu zaproszono? Jestem gościem, nie jakimś zasranym ninją.

Dłonie przejechały po jego żebrach, pod pachami, po plecach. Gdy facet przykucnął, żeby obmacać nogawki spodni, Rebus miał ochotę przywalić mu kolanem w twarz, ale uznał, że konsekwencje mogłyby być niemiłe.

– Mam nadzieję, że bawiłeś się tak dobrze jak ja – powiedział, gdy tamten się wyprostował.

Asystent bez słowa odebrał mu listy i zaprowadził go do ogromnego salonu.

Przy schodach była teraz zamontowana winda, ale poza tym wszystko wyglądało jak dawniej. Cafferty siedział w elektrycznym wózku inwalidzkim przy sięgających od podłogi do sufitu oknach. Obok stał teleskop na statywie, opuszczonym tak, żeby pasował dla kogoś siedzącego.

– Co kto lubi – skomentował Rebus.

Cafferty nieznacznie obrócił głowę i uśmiechnął się blado. Stracił na wadze, a jego twarz miała chorobliwy odcień. Oczy jednak wciąż były stalowe, a wielkie zaciśnięte pięści przypominały o jego brutalnych wyczynach z przeszłości.

– Ani kwiatów, ani czekoladek? – zapytał, mierząc Rebusa wzrokiem.

– Zamówiłem białe lilie, czekam tylko na stosowną okazję. – Rebus udał, że podziwia widok na Meadows i kominy Marchmont. – Nadal go nie znaleźli, co? – mruknął. – Tego, co do ciebie strzelał? I tak sobie myślę, że raczej go już nie znajdą.

– Andrew, przynieś Johnowi coś do picia. Może kawę. To zneutralizuje alkohol, co?

– Nie po to się pije alkohol, żeby go neutralizować.

– Więc co, whisky? Piwa nie mam.

– Niczego mi nie trzeba. Chcę tylko wiedzieć, po co tu jestem.

Cafferty zganił go wzrokiem.

– Mnie też miło cię widzieć – powiedział.

Skręcił wózkiem, podjechał do długiego szklanego stolika po drugiej stronie pokoju i dał asystentowi znak, żeby wyszedł.

– To kim w końcu jest ten chłopak, opiekunem czy ochroniarzem? – spytał Rebus, podchodząc do kanapy, którą wskazał mu gospodarz. Odsunął poduszkę z wizerunkiem

szkockiej flagi i usiadł. Na stoliku leżała poczta, którą zostawił Andrew.

– A co u ciebie? – zagadnął Cafferty. – Jak ci się wiodło podczas pandemii?

– Jak widać, przeżyłem.

– Czyli obu nam się udało. Swoją drogą, pewnie czujesz to tak samo jak ja.

– Niby co?

– Że jesteśmy śmiertelni. A kostucha puka do drzwi. – Dla podkreślenia swoich słów Cafferty stuknął kostkami lewej ręki w podłokietnik wózka.

– Cóż za wesoły temat. – Rebus odchylił się na oparcie kanapy.

– Życie nie jest wesołe, nie? Nauczyliśmy się tego dawno temu. A siedząc tu podczas covidu, nie miałem wiele do roboty poza… – Cafferty postukał się w skroń.

– Trzeba było zadzwonić, pożyczyłbym ci puzzle.

Stary gangster wolno pokręcił głową.

– Nie zapominaj, że cię znam. Chcesz powiedzieć, że tygodniami siedziałeś w mieszkaniu, sam ze sobą, i nie rozmyślałeś? Co innego mogłeś robić?

– Musiałem wyprowadzać psa.

– Zwalałeś te spacery na córkę i wnuczkę, widziałem. – Ruchem głowy Cafferty wskazał teleskop. – A czasem na Siobhan Clarke. Ona nie potrafi przejść sto metrów stąd, żeby nie spojrzeć w górę. Spojrzeć, a nie… – Dwoma palcami zasalutował gościowi.

– Może przejdźmy do rzeczy, póki jeszcze jasno.

– Sęk w tym… – Cafferty zaczerpnął powietrza i wypuścił je głośno. – Nie miałem do roboty nic oprócz myślenia o tym, co zrobiłem i komu. Choć nie wszyscy na to zasłużyli.

Rebus uniósł dłoń.

– Ja już nie spowiadam. Pogadaj z Siobhan.

– Nie w tej sprawie – odparł cicho Cafferty. – Nie w tej sprawie. – Pochylił się w wózku. – Pamiętasz Jacka Orama?

Przez dłuższą chwilę Rebus zbierał myśli. Jego rozmówca nie odzywał się; czekał, aż synapsy powoli zrobią swoje.

– Jeden z twojego legionu zaginionych – powiedział w końcu Rebus. – Miał bar… Potter's?

– Wiedziałem, że będziesz pamiętał.

– Sala bilardowa, w której bile przydawały się nie tylko do wbijania do łuz. Nad drzwiami wisiało jego nazwisko, ale zyski przypadały tobie. Uszczknął coś raz i drugi i ani się obejrzał, a nawet kij bilardowy nie mógł go uratować.

– Nie tknąłem go.

– Jasne.

– Nie zdążyłem, bo zwiał. Teraz uchodzi za zaginionego. Wydaje mi się, że sprawę prowadziła twoja koleżanka Siobhan.

– No i?

– Słyszałem, że Jack wrócił do miasta.

– I?

– Chciałbym zamienić z nim słówko. O ile da się go przekonać.

– Co mu zrobisz? – burknął Rebus. – Każesz Andrew przeszukać go ciut mniej delikatnie?

– Chcę go przeprosić – oświadczył Cafferty uroczyście.

Rebus teatralnie przyłożył dłoń do ucha.

– Chyba się przesłyszałem.

– Mówię poważnie. Owszem, wziął, co nie jego, i uciekł. Ukrywał się cztery lata i na pewno robił w gacie ze strachu. Wrócił chyba dopiero wtedy, kiedy usłyszał o tym. – Znów stuknął w podłokietnik.

– Wciąż nie kumam.

– Bo nie wiesz, po co potrzebował pieniędzy. Jego brat, Paul, zmarł na raka. Zostawił żonę, dwójkę dzieci i puste

konto. Jack chciał im pomóc, za wszelką cenę.

– Mam uwierzyć, że nagle wyrosło ci sumienie?

– Chcę spojrzeć mu w oczy i powiedzieć „przepraszam".

– To wyślij swojego fagasa, żeby go odszukał.

– Mógłbym, ale skoro to ty jesteś winny tego, co go spotkało…

– Co ty bredzisz?

– Jakieś cztery lata temu piłeś w barze i wdałeś się w pogaduszki z jednym gościem. Nazywał się Eric Linn. Coś ci świta?

– Poznałem wielu ludzi w wielu pubach.

– Mieliście wspólnego znajomego, Alberta Cousinsa, twojego dawnego kapusia. Linn spytał, czy nadal się widujecie. Powiedziałeś, że nie, ale podobno przegrywa za dużo w pokera w Potter's po zamknięciu lokalu. – Cafferty zamilkł na chwilę. – Już kojarzysz?

– Może.

– No więc Linn wiedział, że mam tam udziały, i pomyślał, że mnie to zainteresuje. Dobrze kombinował, bo jakoś nikomu nie przyszło do głowy, żeby mi powiedzieć o tych partyjkach. Jack Oram trzymał gębę na kłódkę, nie odpalał mi działki. Pogrzebałem trochę i wyszło na to, że z sali bilardowej też podbierał kasę. Miał fart, że się ulotnił, zanim zdążyłem zamienić z nim słówko. – Cafferty znów przerwał. – A wszystko dlatego, żeś w barze zaczął kłapać ozorem po pijaku.

Rebus przez chwilę milczał. To prawda, Cousins grał nałogowo. Ale skąd Rebus mógł wiedzieć, że nie należy o tym wspominać? Chociaż…

– Ulice się zmieniły – podjął Cafferty. – Nie mam już tylu oczu i uszu co kiedyś.

– Ja też nie.

– Ale wciąż znasz miasto. I masz czas.

– Jestem za stary, żeby odstawiać Humphreya Bogarta. – Rebus wstał i wrócił na miejsce pod oknem. Usłyszał szum silnika, gdy Cafferty jechał za nim wózkiem.

– Jestem na wylocie – powiedział cicho stary gangster. – Zrozumiałeś to, jak tylko tu wszedłeś. Kule zrobiły swoje, za dużo szkód. – Wyglądało na to, że dopadło go zmęczenie. – Mam wyrzuty sumienia w związku z Oramem. Nie wiem, dlaczego akurat z jego powodu, a nie innych. Ale za tę robotę jest kasa. – Wskazał meblościankę. – Jest tam, w kopercie. Nie byłbyś Bogartem, gdybyś jej nie wziął.

– A masz w pakiecie jakąś femme fatale?

– Nic nie obiecuję, ale kto wie, co się może trafić. Lepsze to niż gnicie w tym twoim mieszkaniu.

– Właśnie układam kolejne puzzle. Okładka płyty *Sergeant Pepper*, tysiąc elementów.

– Nie uciekną.

Rebus odwrócił się i pochylił nad człowiekiem w wózku.

– Cokolwiek się stało z Oramem, to nie moja wina, tylko twoja. I tak byś się w końcu dowiedział, w ten czy inny sposób. Nie brakuje cwaniaków, którzy z miłą chęcią wytropiliby go dla ciebie.

– Nie chcę byle jakiego cwaniaka. Chcę największego.

Mimo woli Rebus uśmiechnął się blado.

– No dobrze. Co masz oprócz jego nazwiska?

– Może używa fałszywego. Ja na jego miejscu tak bym zrobił. Ostatnio widziano go kilka tygodni temu w okolicach Gracemount.

– Idealne miejsce na spacery dla byłego gliny. Chcesz mnie wystawić na odstrzał?

– Wychodził z agencji wynajmu nieruchomości przy Lasswade Road.

– Ty też chyba miałeś kiedyś taką agencję?

Cafferty skinął głową.

– Sprzedałem ją kilka lat temu.

– Czyli ostatni ślad prowadzi do agencji, która miała w nazwie twoje nazwisko?

Stary gangster powoli wzruszył ramionami.

– Wiem, wolałbyś, żeby to była willa hollywoodzkiego magnata filmowego. Ale nic lepszego nie mam.

Rebus pochylił się jeszcze bardziej i zacisnął dłonie na podłokietnikach wózka. Spojrzeli sobie głęboko w oczy; milczenie się przedłużało. W końcu Rebus wyprostował się i wolno pokręcił głową.

– Pomyślę – powiedział, ruszając do drzwi.

Cafferty nadal wyglądał przez okno. Za jakieś pięć minut mógł przyłożyć oko do teleskopu i patrzeć, jak Rebus wraca przez Meadows. Usłyszał trzask zamykanych drzwi wejściowych i wyczuł, że Andrew staje za jego plecami i czeka na polecenia.

– Herbata – powiedział. – Siekiera.

– On mi się nie podoba – oświadczył Andrew.

– Znasz się na ludziach. Mnie też pewnie byś nie lubił, gdybym ci nie płacił za przywilej obcowania ze mną. Chociaż uczysz się ode mnie tyle, że może to ja powinienem pobierać czesne.

Cafferty podjechał wózkiem do meblościanki. Koperty z kasą oczywiście nie było. Zadowolony, wrócił do niskiego stolika, sięgnął po pocztę i przerzucił listy. Była tam koperta formatu A4 z dobrze mu znanym nadrukiem w lewym górnym rogu: *MGC Wynajem Nieruchomości*. Te kutwy wciąż używały jego firmowej papeterii.

– A to co, do ciężkiej… – mruknął, rozrywając kopertę.

W środku była kartka z wydrukiem ziarnistego zdjęcia. Mężczyzna uchwycony z profilu przez drzwi salonu. Cafferty

obejrzał drugą stronę papieru. Czysty. W kopercie nic więcej nie było.

Andrew stanął za jego plecami.

– Kto to? – zapytał.

– Nie mam zielonego pojęcia, do kurwy nędzy! – warknął Cafferty. I mówił prawdę. Nie znał tego człowieka.

Ale ten salon…

2

Detektyw inspektor Siobhan Clarke siedziała w biurze dochodzeniówki w komisariacie przy Gayfield Square. Od niemal pięciu minut gapiła się na ekran komputera, a obok niej stygła w kubku herbata.

– Zaparzę ci świeżą – zaproponowała detektyw posterunkowa Christine Esson.

Clarke zamrugała i potrząsnęła głową, by wrócić do rzeczywistości, a potem zamknęła oczy i przeciągała się, wyginając kręgosłup, dopóki nie poczuła, jak kręgi z trzaskiem wskakują na swoje miejsce.

– Strzelam, że to znów Francis Haggard – powiedziała Esson, unosząc swój kubek.

Ciemne włosy miała przycięte na pazia; przez te wszystkie lata, kiedy pracowały razem, ani razu nie zmieniła fryzury. Biurka stały naprzeciw siebie, więc trudno było coś przed nią ukryć, Clarke podejrzewała jednak, że Esson potrafi czytać nawet w głębi jej głowy.

– A któż by inny? – rzuciła inspektor.

Haggard był mundurowym z komisariatu w Tynecastle oskarżonym o przemoc domową. To, co obecnie określano jako przemoc, kiedyś nazywano znęcaniem się, a jeszcze wcześniej rękoczynami. Zdaniem Clarke żadne z tych pojęć nie oddawało w pełni ciężaru tego przestępstwa. Znała ofiary takich zachowań: został z nich tylko wrak człowieka, oskubany z wiary w siebie, zaufania i poczucia własnej wartości. Niektóre maltretowane kobiety cierpiały przez cały okres małżeństwa – często fizycznie, a psychicznie zawsze. Sprawcy pochodzili z różnych klas i grup wiekowych, ale po raz pierwszy miała do czynienia z kimś ze swoich.

Francis Haggard miał za sobą piętnaście lat służby. Był sześć lat po ślubie i według żony wybuchy gniewu i przemoc psychiczna zaczęły się jakieś półtora roku później. Clarke i Esson przesłuchały go tego popołudnia, zresztą nie pierwszy raz. Siedział naprzeciwko nich, wyprostowany, z rozłożonymi nogami, i od czasu do czasu kładł dłoń na kroczu. Jego adwokat, który musiał odsunąć krzesło, żeby nie stykali się kolanami, z trudem maskował pogardę.

Haggard marudził, że przyszły dwie śledcze, a nie jedna.

– Na pewno ci to pasuje, Mikey? – zwrócił się do prawnika. – Niektórym by się to nie spodobało.

Adwokat, Michael Leckie (Clarke wątpiła, by ktokolwiek oprócz Haggarda mówił do niego „Mikey"), poprawił się na krześle i nie odpowiedział.

– Wszystko jasne. – Haggard pokiwał głową. – Widły w dłoń, rozpalony stos czeka. – Nagle gwałtownie odwrócił się do obrońcy. – Śmiało, powiedz im to, co ci mówiłem.

Michael Leckie odchrząknął i przeniósł wzrok z akt na stole na siedzące naprzeciwko policjantki.

– Zakładam, że słyszały panie o zespole stresu pourazowego? – spytał, rozdzielając słowa tak, jakby dukał w obcym

języku.

– PTSD – odparła Esson.

– A tak, kurwa, PTSD – przytaknął Haggard.

– PTSD – powtórzyła posterunkowa, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Teraz Clarke podniosła kubek. Esson, nie wiadomo kiedy, nalała jej świeżej herbaty, choć sama pijała wyłącznie gorącą wodę, przynajmniej w pracy.

– To nie przejdzie, prawda? – spytała przełożonej.

– Nie wiem – przyznała Clarke. Podczas przesłuchania Haggard ograniczył się do stwierdzenia, że nabawił się PTSD w wyniku piętnastu lat służby.

„Na tym etapie mój klient nie chce wchodzić w szczegóły", oświadczył Leckie takim tonem, jakby sam niewiele o nich wiedział. Haggard, któremu postawiono już zarzuty, wyszedł za kaucją, z zakazem zbliżania się do żony oraz ich wspólnego miejsca zamieszkania na odległość dwustu metrów. Zawieszono go w obowiązkach służbowych i kilka razy przesłuchano. Esson od początku prowadziła tę sprawę, a kiedy jej partner, detektyw posterunkowy Ronnie Ogilvie, zachorował na covid i trafił na domową kwarantannę, dołączyła do niej Clarke.

– PTSD – powtórzyła Esson po raz któryś.

– Sprawdziłam w sieci – oznajmiła Clarke. – Chodzi o urazy psychiczne doznane na polu bitwy albo w zamachach terrorystycznych. Stres po przeżyciu tsunami bądź traumę wyniesioną z dzieciństwa.

– Zaraz się okaże, że bije żonę, bo trzydzieści lat temu ksiądz go macał po próbach chóru – mruknęła Esson sceptycznie. – Dziwne, że dopiero teraz sobie o tym przypomniał. Założę się o wszystko, że podsunęła mu to jakaś męska grupa w sieci. Musimy sprawdzić, czy ktoś już próbował takiej linii obrony. I wysłać go na badanie do psychologa.

– Jest mnóstwo rzeczy do zrobienia, Christine. Czy on służył gdzieś poza Tynecastle?

– Powierzano mu tylko krótkotrwałe zastępstwa w innych komisariatach.

– Czyli to PTSD wzięło się z pracy w Tynie.

– Straszliwe Tynie. Teraz brzmi to trochę bardziej wiarygodnie.

Każdy policjant w Edynburgu znał przynajmniej jedną opowieść o Tynecastle. Tamtejsi funkcjonariusze słynęli z tego, że przekraczają granice, ale uchodzi im to na sucho. Aresztanci bez przerwy potykali się w drodze do cel, spadali ze schodów albo tracili równowagę i odbijali się twarzą od ściany. Monitoring akurat nie działał, a skargi na nadużycie uprawnień wycofywano bądź umarzano. Chodziły też słuchy o grubszych numerach, jak fabrykowanie dowodów, tuszowanie spraw czy łapówki.

– Ma na imię Cheryl – powiedziała nagle Esson.

– Co?

– Cheryl Haggard. Ofiara. W tym natłoku spraw nie możemy stracić jej z oczu.

– Racja. Jeśli jej mąż naprawdę cierpi na PTSD, to przecież pierwsza by o tym wiedziała, nie? Powiedziałby jej coś. Albo sama zauważyłaby zmianę.

– Jeszcze z nią nie rozmawiałaś, prawda?

Clarke pokręciła głową.

– Wiem, że ty i Ronnie już z nią gadaliście. – Przekopała akta na biurku i wyjęła jeden z raportów. – Jak ona się trzyma?

– Siostra się nią opiekuje.

– Przynajmniej tyle. Kto jest w tym przypadku funkcjonariuszem od kontaktów z ofiarami?

– Gina Hendry. Podobno cię zna.

Clarke skinęła głową.

– Znamy się od dawna. Porozmawiam z nią.

– Może jutro, szefowo? – Esson uniosła telefon i odwróciła ekran tak, by Clarke zobaczyła, która godzina.

– Tak późno? – Inspektor spojrzała na okno. Na zewnątrz było już ciemno.

– To był długi dzień. A dzisiaj jest moja kolej, ja stawiam.

– Wytoczyliście bardzo przekonujący argument, posterunkowa – orzekła Clarke i sięgnęła po torbę.

Siobhan Clarke mieszkała w kamienicy niedaleko Broughton Street, najwyżej pięć minut piechotą od Gayfield Square. Esson wzięła ją do baru na Leith Walk. Z powodu robót drogowych pod nową linię tramwajową na Leith Walk jak zwykle panował chaos. Niektóre odcinki chodnika były praktycznie nie do przejścia, a właściciel baru powiesił nad drzwiami baner informujący potencjalnych klientów: TAK, JESTEŚMY OTWARCI – I GOTOWI WAS OBSŁUŻYĆ! Clarke wątpiła, czy zamówione przez nie nachos i dwie kolejki ginu z tonikiem znacząco podreperują mu budżet. Kiedy wychodziły, powiedział, że zaprasza ponownie. „I przyprowadźcie znajomych! – rzucił jeszcze. – Najlepiej całe stado".

Siedząc z dala od najbliższego zajętego stolika, Clarke i Esson zaczęły omawiać sprawę. Z początku próbowały tego unikać, ale szybko wyczerpały inne tematy.

Esson zamieszała lód w szklance.

– Z notatek funkcjonariuszy, którzy go zatrzymali, wynika jasno, że obchodzili się z nim jak z jajkiem – powiedziała. – Wiesz, swój chłop i tak dalej. Na drugim końcu korytarza stała Cheryl… cała zapłakana, z krwią lecącą z nosa. To sąsiedzi zadzwonili po pomoc. Nie pierwszy raz słyszeli krzyki. Kiedyś już nas wezwali, ale gdy przyjechali mundurowi,

Haggard jakoś się wykręcił. Myślałam, że czasy przymykania oka na przemoc domową mamy już za sobą.

– Nie wtedy, kiedy trafisz na kogoś z taką samą odznaką jak twoja.

– Może i tym razem by się wywinął, gdyby nie zaczął pyskować i nie popchnął jednego z mundurowych. Widziałaś ich mieszkanie?

Clarke pokręciła głową.

– Byłam tam – oznajmiła Esson. – Nowe osiedle w Newhaven, blisko portu, z balkonu widok na wodę. Sąsiedzi pracują w finansach. Mówili, że izolacja ścian jest świetna, wiedzieli więc, że te krzyki to coś poważnego. Widziałaś zdjęcia jej obrażeń?

– Stare i nowe, Christine. Znam opisy na pamięć. Czytałam zapisy twoich rozmów z nią.

– Jak widać, bycie starą panną ma swoje plusy – mruknęła Esson i westchnęła.

Spojrzały sobie w oczy i uśmiechnęły się bez przekonania.

Wracając do domu, Clarke rozmyślała o swoich związkach. Przez lata uzbierało się ich sporo, ale wszystkie kończyły się niczym jazda samochodem, który dławi się i gaśnie, bo przecieka paliwo. W końcu zrozumiała, że dobrze jej samej. Miała mieszkanie, muzykę, książki i telewizję. Miała przyjaciół, z którymi mogła wyskoczyć na miasto albo wpaść do nich na kolację. Przestali już swatać ją z odpowiednimi kandydatami (także z kandydatkami). Edynburg to całkiem niezłe miejsce dla singli. Na koncertach, w kinie czy w teatrze nie czuła się dziwnie. Owszem, podczas lockdownu nudziła się jak mops, ale też ceniła ciszę w mieście i wyludnione ulice.

Skutkiem ubocznym było to, że choć wskaźnik niektórych przestępstw spadł na łeb na szyję, inne poszybowały w

górę – w tym przemoc domowa. Związki stały się szybkowarami. Gdy zamknięto bary i kluby, alkohol lał się w domach. Puszczały nerwy, padały wyzwiska, aż w końcu w ruch szły pięści i wszystko, co było pod ręką. Spodziewała się, że kiedy wejdzie do pokoju przesłuchań, Haggard zagra właśnie tą kartą. A nie jakimś cholernym PTSD.

Dotarła do swojej kamienicy i właśnie wyciągała klucze z torebki, gdy usłyszała za sobą szelest. Wsunęła jeden klucz między palce, zacisnęła pięść i odwróciła się. Za nią stał ktoś, kogo znała.

Detektyw inspektor Malcolm Fox.

Wysiadł z samochodu – chyba z nowiutkiego Mercedesa. Choć raz nie miał na sobie perfekcyjnie skrojonego garnituru. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach ciemnej pikowanej kurtki. Widząc klucz w dłoni Clarke, uniósł ręce w teatralnym geście kapitulacji.

– Mnie też miło cię widzieć – powiedział.

– Nie dzwonisz, nie piszesz – odparła. – Wygląda na to, że odkąd dostałeś kopa w górę, zapominasz o nas, szaraczkach.

Fox pracował w Gartcosh, w Centrali Wydziału Kryminalnego Policji Szkockiej. Nie była pewna, dlaczego jego kariera wystrzeliła, a jej ugrzęzła na buspasie. Ich dawny kolega John Rebus nazywał Foxa „wazeliniarzem w ostrogach" – potakiwaczem, nadskakującym przełożonym lizusem, który świetnie wygląda w drogim garniturze, zaparkowany za biurkiem.

– Przecież przyjechałem, prawda? – Teatralnie wzruszył ramionami. Poza kurtką miał na sobie dżinsy i brązowe półbuty, ale nic z tego do niego nie pasowało. Krótko ostrzyżone włosy były z przodu ułożone na żel, a policzki błyszczały mu, jakby potraktował je brzytwą mocniej, niż to było konieczne.

– Jest ósma wieczorem, Malcolm.

– Nie było cię w biurze.

– Mam telefon.

Kącik jego ust drgnął.

– Chciałem cię zobaczyć w realu.

– Po co?

Ruchem głowy wskazał Broughton Street.

– Skoczymy na drinka?

– Już piłam.

– Z Christine Esson. Poinformowali mnie w recepcji. Zajrzałem do kilku knajp w okolicy…

– Czyli jednak zostało w tobie coś z detektywa.

Zanim Fox dostał kopa w górę do Gartcosh, pracował w dochodzeniówce, a potem w wydziale wewnętrznym.

Znów schował ręce do kieszeni kurtki, jakby chciał pokazać, że mu zimno.

– To może kawa? – Jego wzrok spoczął na drzwiach za jej plecami.

– Raczej nie. Jestem wykończona.

Ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Sprawa Haggarda – rzucił.

Uniosła brwi.

– Jesteś dobrze poinformowany.

– Zagrał kartą PTSD, prawda? A może jeszcze ci o tym nie powiedział?

Spiorunowała go wzrokiem. W jego oczach błyszczało rozbawienie. Wiedział, że złapała się na jego haczyk.

– Masz dokładnie dziesięć minut – warknęła, przekręcając klucz w zamku.

Weszli po schodach – ona pierwsza, on za nią.

– Widziałem, jak obczajałaś mój samochód – odezwał się. – Mógłbym ci załatwić równie korzystną cenę, jeśli jesteś zainteresowana.

– Nie jestem.

– Jakby co, pamiętaj o mnie. Rebus dalej jeździ tym swoim starym Saabem?

– Skąd mam wiedzieć?

– Już się nie spotykacie?

– Nie twoja sprawa, z kim się spotykam, a z kim nie.

– Tylko podtrzymuję rozmowę.

– To przestań.

Dotarli na jej piętro. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Gdy zerknęła do salonu, uznała, że nie ma się czego wstydzić. Względny porządek, nic kompromitującego na wierzchu. Powiesiła płaszcz na oparciu krzesła i usiadła twarzą do drzwi.

Fox stał w progu i rozglądał się po mieszkaniu.

– Sprzątaczka ma wolne? – spytał.

– Powiedział facet, którego najlepszym kumplem jest mikrofalówka.

– Znam już kilka przepisów. Kiedyś ugotuję ci coś na kolację.

– To groźba?

Tylko się uśmiechnął i rozpiął kurtkę.

– Szkoda zachodu – rzuciła.

– Czyli jednak kawy nie będzie?

– Skąd wiesz o Haggardzie, do cholery?

– Jest policjantem. Płacą mi za to, żebym wiedział.

– Może w twoim poprzednim życiu. Bo nie jesteś już w wewnętrznym.

– Ale byłem, a mój szef twierdzi, że to się liczy. – Wskazał na sofę i uznał kamienne milczenie za zgodę na to, żeby się rozsiadł. – Martwi nas ta sprawa, Siobhan. Martwią nas możliwe konsekwencje.

– Masz na myśli złą prasę?

– Łajdak w policji zawsze źle wygląda.

– To nie pierwszy policjant oskarżony o przemoc domową, więc domyślam się, że chodzi o coś więcej. Konkretnie o PTSD.

– Siobhan, przepracowałem w wewnętrznym ładne kilka lat. Tynecastle nie znikało z naszego radaru, ale niczego nie udało się udowodnić.

– Nadal nie rozumiem, skąd wiesz, że Haggard zamierza się powołać na PTSD.

– Powiedział nam.

– Co?!

– W mailu do komendanta głównego. Twierdzi, że jeśli ten temat wypłynie, będzie musiał opisać mnóstwo historii świadczących o korupcji w łonie Policji Szkockiej. Cytuję dosłownie.

– Podaje jakieś przykłady?

– Nie.

– Ale nie sądzicie, że blefuje?

– Mój szef nie ma jak tego sprawdzić.

– Twój szef, czyli komendant główny?

– W mądrości swojej przekazał sprawę w dół, do zastępcy komendanta.

– Czyli do Jennifer Lyon, tak? A ona dała to tobie?

Fox skinął głową.

– Po co? – spytała.

– Musimy wiedzieć więcej o jego linii obrony. Co zamierza zeznać, ile z tego będzie w stanie udowodnić. Portale i blogerzy już coś węszą. Wiedzą, że Haggard to Tynecastle, a Tynecastle aż grzechocze od trupów w szafie.

– Na pewno będę cię informować na bieżąco. – Strzepnęła z nogawki nieistniejący paproch.

– Słowo? – zapytał, kiedy zapadła cisza.

– Daj pomyśleć. – Przechyliła głowę. – Zjawiasz się tu ukradkiem, wieczorem… Na mój gust chcesz, żeby wszystko

zostało między nami.

– Najpierw szukałem cię w komisariacie – zaprotestował, ale zbyła to wzruszeniem ramion.

– Nic z tego nie idzie oficjalną drogą. Lyon wybrała ciebie, bo masz doświadczenie w wydziale wewnętrznym, czy z powodu naszej znajomości? Myślała, że będę miękka, że chętnie podzielę się tym, co usłyszę w pokoju przesłuchań? – Jej twarz stwardniała. – Dlaczego Haggard wysłał tego maila? Chce umorzenia sprawy, prawda? W tym celu zagrozi każdemu, czym tylko się da. I proszę bardzo, ty i twoja szefowa już odwalacie za niego robotę. – Wstała i podniosła głos. – To tak nie działa, Malcolm. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle próbowałeś.

– Uprzedziłem Lyon, że to trudne zadanie.

– Ona chce, żeby zamieść sprawę pod dywan?

– Chce tego, co najlepsze dla Policji Szkockiej.

– Czyli mniej nagłówków w gazetach. – Na szyję Clarke wpełzał rumieniec. – Przekaż szefowej, że prześlę jej zdjęcia obrażeń Cheryl Haggard. Zdjęcia oraz jej zeznania. Zrobię to jutro z samego rana.

– Ona zna szczegóły sprawy, Siobhan.

Dała mu znak, żeby wstał. Sama była już przy drzwiach.

– Możesz jej powiedzieć, że rozmawialiśmy. Ale dopóki to ja prowadzę śledztwo, nie będzie umorzenia. Sprawa trafi do sądu. Gwarantuję ci to.

– Jesteś bardzo pewna siebie. Zawsze to w tobie podziwiałem. Inne twoje cechy już niekoniecznie.

– Ciesz się swoim pieprzonym błyszczącym autem, Malcolm.

Odprowadziła go do drzwi i zatrzasnęła je za nim. Wróciła na fotel i zadzwoniła do Christine Esson, ale ta nie odebrała. Przewinęła listę kontaktów, znalazła numer Giny Hendry i wysłała jej wiadomość:

Dostałam sprawę Haggarda. Chcę pogadać z Cheryl. Możesz to jakoś ogarnąć? Przy okazji, fajnie byłoby się spotkać. Dawnośmy się nie widziały. S

Poszła do kuchni i nastawiła czajnik. Z blatu łypała na nią opróżniona do połowy butelka Edinburgh Gin.

– Nie kuś, szatanie – mruknęła, sięgając po herbatę i kubek.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**. Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- Virtualo
- Publio
- Nexto

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.
Szukajcie ich na portalu Audioteka lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na Facebooku i na Instagramie.